

W INTERESIE EUROPEJSKIEGO BEZPIECZEŃSTWA

Zawarcie Układu Zgorzeleckiego było realizacją postanowienia układu poczdamskiego w sprawie delimitacji granicy na Odrze i Nysie równocześnie zapoczątkowało nowy etap w historii stosunków polsko-niemieckich.

Niemiecka Republika Demokratyczna zerwała całkowicie z dotychczasową polityką imperialistyczną Niemiec i oparła swoją politykę wewnętrzną i zagraniczną na demokratycznych i pokojowych zasadach. Pierwszym aktem międzynarodowym NRD było podpisanie Układu Zgorzeleckiego, w którym rząd tego państwa uznał prawa narodu polskiego do ziem położonych na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej. Był to krok bardzo istotny dla ukształtowania powojennej historii Europy, dla nawiązania i rozwijania przyjaznych stosunków między NRD a innymi państwami socjalistycznymi Europy.

Ostatnia lekcja najnowszej historii polsko-niemieckiej nauczyła Polaków czujnie śledzić wszystko, co dzieje się dziś na terenie Niemiec, skąd za życia jednego pokolenia wzięły swój początek dwie najstraszliwsze wojny światowe. W czasie hitlerowskiej okupacji, która trwała w Polsce ponad 5 i pół roku, zagrożony był biologiczny byt narodu polskiego. Hitlerowscy okupanci pod kierownictwem wypróbowanych ludobójców z SS przystąpili do masowego wyniszczenia ludności polskiej według z góry ułożonego planu. Polska miała na zawsze zniknąć z mapy Europy, a resztki naszego narodu miały służyć „rasie panów” (Herrenvolk) jako siła robocza, jako niewolnicy.

Straty biologiczne narodu polskiego w wyniku narzuconej nam ostatniej wojny przekraczają 6 milionów obywateli. Stąd też, ze zrozumiałą satysfakcją Polacy przyjęli wiadomość o utworzeniu pierwszego w dziejach niemieckiego państwa robotników i chłopów. Z zadowoleniem i podziwem śledzono walkę o demokratyzację życia, o przemianę świadomości narodu niemieckiego, o przebudowę ekonomiczno-społeczną kraju.

W NRD stworzono podwaliny pod ustrój socjalistyczny, wyrażający najlepiej wspólne interesy naszych narodów. Wspólnota interesów, wspólne cele i ścieśna współpraca we wszystkich dziedzinach, oto droga przyjaźni polsko-niemieckiej, która zapoczątkowana została w okresie wspólnych walk rewolucyjnych niemieckiego i polskiego proletariatu, a następnie znalazła swój wyraz w nawiązaniu owocnej współpracy państwowej naszych krajów. Kamieniem milowym na tej drodze był podpisany przed 19 laty Układ Zgorzelecki oraz zawarty w marcu 1967 roku układ o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy między Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Podpisując te układy, Polska dała wyraz swego wszechstronnemu poparciu dla pokojowej polityki NRD, która stała się ważnym elementem pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

Rozwój powojennych Niemiec wykazuje, jak dalekowzroczna była decyzja rządu NRD w sprawie uznania tej granicy. Potwierdziła ona nie tylko dostateczny charakter zachodniej granicy Polski, ale stała się również ważnym elementem bezpieczeństwa NRD, jej suwerenności, nienaruszalności jej granic. Na straży naszych granic stoją dziś potężne siły zbrojne obozu socjalistycznego ze Związkiem Radzieckim na czele — państw związanych na zawsze z NRD więzami przyjaźni i współpracy. W układzie o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej z 1967 r. Polska przyjęła na siebie obowiązek gwaranta nienaruszalności granic NRD, podobnie jak NRD przyjęła na siebie obowiązek wspólnej obrony zachodniej granicy Polski.

Dziś z całą ufnością możemy patrzeć na naszego zachodniego sąsiada, na wspaniały rozkwit gospodarczy i polityczny NRD.

Polityka Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest stałym czynnikiem nowego ładu, bezpieczeństwa i trwałości pokoju w Europie. Jest to polityka, która cieszy się zaufaniem i poparciem całego narodu polskiego.



DOŁĄŻYĆ DOŁĄŻYĆ DOŁĄŻYĆ

Nr 401 6. VII. 1969 Rok IX

Irena Solińska

Z teatralnych afiszów

I Ludwik Soliński w „Grubych rybach”, tylko trzy gościnne występy! „Porwanie Sabinek” — adaptacja Tuwima, z Józefem Węgrzynem! Dziś „Skiz” Zapolskiej z Mieczysławą Cwiklińską!

Niezwykłe dla teatru polskiego były te pierwsze powojenne lata. Na przedzie drukowane afisze, przylepiane na bramach, które prowadziły w ruiny, na ocalałych murach zrytych odtłakami, jakby na przekór rzeczy wistoci zapraszają publiczność na najprawdziwsze przedstawienia.

Słowa Manifestu zapewniają wszy stkim obywatelom dostęp do skar bów kultury, a artystom opiekę. Niemal równocześnie z wolnością pierw sze spektakle Teatru i Armii. Kurty na idzie w górę w Białymostku, Rze szowie, Krakowie, Łodzi, gra teatr w prawobrzeżnej Warszawie, nim je szcze ożyło miasto. Z nieprawdopo dobym rozmachem polska Melpo mena wkracza do miast i miasteczek, których nigdy dotąd nie nawiedzała. Przypadły jej do serca przywrócone ojczyźnie ziemie nad Odrą i Bałty kiem.

A co się wtedy grywało? Fredrę, Zapolską, „Przepióreczkę” Zerom skiego, trochę Słowackiego. W reper tuarze obcy Szekspir z Moliere, Beaumarchais, nieco później Girau dous. Oczywiście polscy dramaturdzy próbowali dać odbicie pięcioletniej tragedii narodu i jego zmagani. Pró bowali ustosunkować się do zupełnie nowych problemów polityczno-spo łecznych, niosących konflikty, niedo mówienia. Na starych afiszach moż na by się w pierwszych czterech la tach dołączyć około setki premier polskich sztuk współczesnych. Nie stety, większość nie przeszła do histo rii. Lecz trwała pozycja stanowią „Odwet” Kruczkowskiego, „Dom pod Oświęcimiem” Hołuj czy „Sta ra cegielnia” Iwaszkiewicza. Wiele dyskusji wywołały wówczas „Dwa

My w 25-leciu

teatru” Szaniawskiego oraz dwie sztuki Zawieyskiego „Rozdroże mi łości” i „Ocalenie Jakuba”. Obiegiły także sceny sztuki Świrszczyńskiej „Orfeusz” i „Strzały na ulicy Dłu giej”.

Afisze z tamtych lat zachowały nam jeszcze nazwiska wielkich ludzi teatru: Osterwę i Jaracza, Adwento wicza, Zelwerowicza, Marii Duleby i Siemaszkowej, mistrza scenografii Karola Frycza, reżyserką plejadę z Schillerem, Wiercińskim, Horzycą, Borowskim i innymi.

Wraca na afisze Słowacki już nie tylko w repertuarze szkolnym, praw dziwym odkryciem staje się Witkacy.

A co ze współczesnością? Jeszcze trzykrotnie afisze zapowiadały pra remiery głęboko dojrzałych, peł nych politycznej mądrości sztuk Kruczkowskiego: „Pierwszy dzień wolności”, „Śmierć gubernatora” i „Przygodę z Vaterlandem”. Gru szczyski w „Kluczu od przepaści” powracał do rozważań odpowiedzial ności moralnej za Hiroszimę. Poja wiły się sztuki umownie tylko ko

II Psociło się bardzo na kolejny rozdział w powojennych dzie jach polskiej sceny. Młodszym czy telnikom przypomnieć trzeba, że cho dzi tu o lata 1949—1955, kiedy istot nie zaciążyła na całą twórczość bez pośrednią, agitacyjną funkcją sztuki. Pojawiały się na afiszach utwory po dobne do czeskiej „Brygady szlifie rza „Karhana”, ochrzczone wspólnym mianem produkcyjniaków i za weżony krąg repertuaru rosyjskiego i radzieckiego. Ale czy tylko?

Wszak w tamtych latach poznała polska publiczność „Domek z kart” — Zegadłowiczowski obrachunek z sanacją. Grano „Drogę do Czarnola su” i „Polacy nie gęsi”. Obok na iwniutkich sztuk „antyimperialistycznych” doczekaliśmy się dzieła wy bitnego, osadzającego istotę hitleryz mu — „Niemców” Kruczkowskiego. Przypomnijmy: premiera 1949 rok.

Inscenizatorska wena naszych re żyserów i scenografów raz po raz rozrywała ciasny krąg repertuaru znakomitymi spektaklami wielkich dramatów rewolucyjnych: na afi szach znalazły się „Lubow Jerowa ja”, „Sztorm”, „Człowiek z karabi nem”...

Ważny jest ponadto jeszcze jeden punkt widzenia — gdzie pojawiały się teatralne afisze. Oto w 1953 r. kiedy już nie tylko każde wojewódz two miało własną stałą scenę, ale także kiedy aktorzy, niczym ich ko ledzy po fachu sprzed stułeci, rusza li do widzów, dając przedstawienia w miasteczkach, można je było znaleźć w 2 500 miejscowościach! Dziś wpraw dzie wolimy, by raczej widzo wie dojeżdżali do teatralnego gma chu, że to uroczystość i poziom spek taklu lepszy w świątyni Melpomeny, ale to już inna sprawa. W każdym razie właśnie tamte lata, tak różno rodnie oceniane, przyniosły wielki trwały dorobek uteatralnienia Pol ski małowiaściznowej i wiejskiej. Rok 1954 — to 9 milionów na wi downi!

A w roku następnym z drukarni wyszedł zupełnie nowy afisz z jakże znamienym napisem: Teatr Ludo wy w Nowej Hucie. Skuszanaka z Krasowskim i Szajną zaczęli kształ tować od podstaw kulturę teatralną robotniczej widowni nowego socja listycznego miasta.

III

Beckett, Ionesco, Dürrenmatt, ci najgłośniejsi. Pinter, Genet, Albee ci najmłodniejsi. Lista reper tuarowa, jaką oferują w następnych latach afisze, zdaje się być niewy czerpana. Bo nie zapominajmy, że obok nowinek i smaczków zapraszają na Brechta, Leonowa, na świetne adaptacje Dostojewskiego i nie znaj dującego uprzednio aż tylu wielbi cieli, zawsze urzekającego Czechowa.

Zapoczątkowana w 1956 r. przez partię nowa koncepcja polityki kul turalnej wyzwała wszystkie możli wości twórcze teatru. Błyszcza pełnym blaskiem nazwiska aktorów na czele z Mikołajską, Mrozowską, Słaską, Ku cówną, Lipińską, wydarzeniem stają się występy Eichlerówny czy Niny Andrycz. Chodzi o Holoubka, Łapickiego, Łomnickiego, Świder skiego, Pawlika, Wołkję. Wspaniała oprawa plastyczna sztuk każe mówić o polskiej szkole scenografii. Raz po raz wśród nazwisk reżyserów, obok Hanuszkiewicza, Dejmka, Axera, po jawiają się na afiszach Swinarski, Ze galski, Okopiński, Goliński... Prze korny nowator Grotowski ekspery mentami w teatrze-laboratorium za dziwił świat.

Ala same eksperymenty czy za chwyty nowinkarstwem to tylko jed na strona medalu. Oto najniepodzie waniej odżywa nam teatr staropolski w „Historii o chwalebnym zmar twychwstaniu”, „Lodoiska” Bogu sławskiego, „Paradach” Potockiego, wzrusza „Barbara Radziwiłłówna”, klasyka Felińskiego, poznajemy dzie siatkę sześciu odkurzonych sztuk, znanych dotąd tylko polonistom.

stiumowe, a roztrząsające współczes ne problemy władzy, moralności, oby czajowości, niektóre o bardzo dysku syjnych pointach.

Na afiszach, które tak niedawno zapraszały na nowe sztuki Broszkie wicza, Tadeusza Różewicza, Mrożka, pojawiło się jeszcze młodsze pokole nie dramaturgów. Drozdowski, Choiński, Grochowiak, Krzysztofi, Smo żewski z próbą udaną teatru faktu, Krasiński, aż po Ernesta Bryllę...

Wybacz Czytelniku, jeśli prze glądając z konieczności bardzo po bieźnie teatralne afisze pomineliś my autora, czy aktora specjalnie bli skich twemu sercu. Nie sposób jed nak zmieścić ani części tego co działo się i dzieje w królestwie polskiej Melpomeny od dnia pierwszego spek taklu przyfrontowego w 1944 r. Za miast więc wydłużać rejestr — po wiemy krótko: teatr polski ostatnio ówierwiecza należy do najcie kawszych teatrów na świecie. A mógł zdobyć taką świetną lokatę i dzięki wielkiemu talentowi, które mu służy, i dzięki spełnieniu słów, jakie przed 25 laty głosił Manifest.

Bogdan Dohnke

Niech pan im nie wierzy...

Korespondencja z Węgier

Nie pierwszy to spór i nie o statni. W gruncie rzeczy nie zasadniczy, ale interesują cy. Jedni traktują go z przy mrużeniem oka, inni sięga ją po arsenał argumentów, by udo wodnić swoje racje. Idzie bowiem o nie byle kogo: o samego Sandora Petőfię — węgierskiego bohatera narodowego.

Podczas mojej ostatniej podróży po Węgrzech „rozbiłem obóz” w o kręgu Bacs-Kiskun, leżącym na po łudnie od Budapesztu, między dwoma największymi rzekami kraju — Dunajcem i Cisą. A że wychodząca w stolicy tej prowincji w Kecskemet gazeta nosi tytuł „Petőfi Nepe” czyli „Lud Petőfię”, przeto mowy być nie mogło o nie odwiedzeniu miejsc związanych z tym wielkim poetą, ro mantykiem, żołnierzem. Redaktor naczelny wspomnianego dziennika — Pahl Tot, zaprosił mnie któregoś dnia na niewielki wypad do mia steczka o trudnej do wymówienia i zapamiętania przez Polaka nazwie Kiskunfelegyhaza. Zwiedziliśmy bar dzo interesujące muzeum okręgowe, mieszczące się w budynkach dawne go więzienia i wędrując uliczkami spokojnego miasteczka, doszliśmy do domu pod łabędziem.

Tutaj, przed z górą 150 laty, mieszał rzeźnik Petrovic, z pochodzenia Serb, a żoną jego była Słowaczka. Syn zrodzony z tego małżeństwa po czuł się wielkim patriotą węgierskim, przyjął węgierskie nazwisko Petőfi, a imię Aleksander również zwrężył na Sandor. W podcieniach domu jest wielka spiżowa tablica z fragmentem poematu Petőfięgo. Kie dy stałem przed nią, jak spod ziemi wyrósł sympatyczny starszy pan, chodząca encyklopedia i wielki miłośnik miasteczka — jak się później okazało — dyrektor miejscowego do mu towarowego, p. Laszlo Balint. Od razu poinformował mnie, że w tym właśnie domu urodził się w ro ku 1823 Sandor Petőfi, a kiedy do wiedział się, że jestem polskim dzien nikarzem, nie omieszkał przypom nieć, że podczas Wiosny Ludów, w 1848 roku, Petőfi był adiutantem ge nerała Józefa Bema.

W izbie pamiętek wisi olbrzymich rozmiarów reprodukcja aktu ślubu Sandora Petőfi. Z tego dokumentu

Dokończenie na str. 2

Wakacyjna widokówka z Racotu

Po obu stronach drogi Kościan — Gostyń, w niewielkiej odległości od stolicy powiatu kościańskiego, roz łożyla się stosunkowo duża i zamożna wieś — Racot. Większość jej mieszkańców znalazła zatrudnie nie w miejscowej Stadninie Koni; inni dojeżdżają do Kościana, gdzie pracują w fabrykach, urzędach i in stytucjach. Po pracy wraz z rodzi niami wylegają na własne działki i pola, które uprawiają trochę z chęci dodatkowego zysku, trochę zaś ku zaspokojeniu — jak to sami mówią — wrodzonej żylki rolniczej.

Mozna by więc rzec — podmiejska wieś, jakich wiele w Wielkopolsce. W typowym wiejskim klimacie jest jednak coś uderzającego i odmien nego, coś, co wyróżnia Racot z gro na osad podkościańskich. Miejsco wość ta, jak żadna inna, zaskakuje bowiem atrakcyjnymi walorami tu rystycznymi i zdrowymi, udanymi pomysłami działaczy racockich, o któ rych — śmiemy przypuszczać — wię czej wiadomo zagranicznym gościom, niżli krajowym turystom, przemie rzającym wzdłuż i wszerz malownic zą Ziemię Kościańską.

ODROBINA DZIEJÓW

Pierwsze wzmianki o „Radsacie” zapisane zostały przez nieznanego kronikarza, nierówno lecz wyraźnie, już w r. 1366, kiedy to rozległymi dobrami racockimi władał ród ma gnatów wielkopolskich — Borków z Gryżyny. Przez transakcje kupna i sprzedaży, zapisy testatorskie i daro wizny, a nawet w drodze wymyślnych morderstw i regulacji karcia nych długów — wieś wielokrotnie zmieniła swych właścicieli. Byli ni mi kolejno: Kostkowie, Leszczyce, Bronisze, Jabłonowscy, a w czasach pruskiego zaboru — księżęta Orańscy i Sachsen-Weimar.

Jerzy Zielonka

Z koniem w herbie

Okazały, klasycystyczny pałac, zbu dowany w XVIII w. według projektu włoskiego architekta Merliniego, stał się w krótkim czasie silnym ośrod kiem polskiej kultury okresu Oświe cenia. Bywali w nim najznamienitsi ludzie tamtej epoki: Tadeusz Ko ściuszko, prezydent miasta Warsza wy w dniach Insurekcji — Ignacy Wyskota Zakrzewski — znany kawa larz i humanista oraz ks. Józef Poni atowski. Tutaj książę Jabłonowski wraz z autorem hymnu narodowego — Józefem Wybickim stworzyli, je den z pierwszych w kraju, polski teatr dworski, sami przygotowując teksty sztuk, które w nim wysta wiano.

W stylowym parku okalającym pa łac, zaliczonym w r. 1948 do pomni ków przyrody, rosną trzystuletnie to pole kanadyjskie o obwodzie pni ponad 6 metrów oraz ciemne olchy, wiąz, lipy, klony i jesiony — wszy stkie z wielowiekowym rodowodem.

W STADNINIE

Po zwycięskim Powstaniu Wielko polskim Racot wrócił do Polski. Przeprowadzono parcelację i rozdział gruntów, w których wyniku pozosta ło 900 hektarów, w tym 600 ha grun tów ornych i 200 ha łąk z przezna czeniem na Państwową Stadninę Ko ni. Pierwsze konie przybyły tutaj do piero w listopadzie 1928 r. Były to klacze hamburskie przejęte od Nie miec z realizacji postanowień trak tatu pokojowego. Rozwój racockiej stadniny przebiegał powoli. Krótko przed wybuchem II wojny światowej znajdowało się w niej 90 klaczy.

We wrześniu 1939 r. konie ewa kuowano. Kolumna przedzierała się zatłoczonymi drogami i wertepami przez płonący kraj w kierunku Lub lina. W drodze, pod Rawa Mazowiec ką, trafiła pod bomby hitlerowskie go lotnictwa. Na posterunku w obro

nie stadniny zginęli: dyrektor Władysław Siemiński i masztalerze — Jan Borowiak i Wincenty Zieliński, a ciężkie rany odnieśli — Stanisław Chytry i Feliks Adamczyk. Zginęli i rozproszyła się poważna część koni, resztę zaś w r. 1942 wywieźli oku panci w głąb Rzeszy.

Trudny wysiłek odnowienia Stad niny podjęto już w kwietniu 1945 r. Od tego czasu datuje się dynamiczny rozwój racockiej hodowli koni, która rozlała wieś na cały nieomal świat. Podstawy rozwoju stworzyła reforma rolna, w której wyniku PSK w Racocie powiększono o po obszarnicze majątki w Gryżynie, Przysiecu, Czaczcu i Białczu, dołą czając w r. 1947 — Kobylniki.

KIERUNKI WSPÓŁCZESNEJ HODOWLI

Po wielu zmianach organizacyj nych, Państwowa Stadnina Koni w Racocie składa się dzisiaj z 6 gospo darstw na pełnym wewnętrznym roz rachunku gospodarczym. Dyrektorem całości jest znawca zagadnień hodo wanych, autor publikowanej w r. 1966 monografii Stadniny w Racocie — inż. Romuald Wołkowiński. W po szczególnych gospodarstwach utrzy muje się dwa zasadnicze kierunki ho dowlane — koni i bydła — oraz do datkowo zapoczątkowane przed kil ku laty hodowle kur i owiec.

Wymogi współczesnego rolnictwa oraz gusta krajowych i zagranicz nych miłośników sztuki jeździeckiej, decydująco odbijają się na kierun kach racockiej hodowli koni. Aktual nie wysiłki wszystkich pracowników Stadniny zmierzają do wyhodowania koni o typie sportowo-wierzchowim o nieco większym niż zazwyczaj wzroście i masie, które nadawałyby się zarówno do sportu konnego, jak i do pracy na roli.

ciąg dalszy na str. 2

Ma pan order?

Nigdy jeszcze nie widziałem mego przyjaciela Genia w tak złym nastroju. Ten urodzony optymista, zawsze uśmiechnięty i zadowolony z życia miał minę ponurą, zły wzrokiem toczył wokoło i na pytania odpowiadał półgębkiem. Trzeba było sięgnąć przy kawie, zamówić po kieliszku koniaku i długo błądzić po tematach obojętnych i niekontrowersyjnych, by wreszcie zgodził się otworzyć duszę.

— Sam przynasz, że mam powody by popaść w pesymizm — powiedział, znacznie już uspokojony swobodną pogawiedzką.

— Jak wiesz postanowiłem poprawić sobie nieco warunki mieszkaniowe, oddać moje nowe mieszkanie kwaterunkowe i przenieść się do spółdzielni mieszkaniowej.

— Przecież zdecydowałeś już dawno, myślałem, że już jesteś członkiem — utrąciłem.

— Istotnie — ciągnął Genio — alicie dość długo szukałem miejsca, gdzie mieszkałoby mi się najlepiej i spółdzielni, która tam właśnie będzie budować. Wreszcie kłamka zapadła i zabrałem się do załatwiania formalności. I to właśnie mnie zgębiło.

— Ejże, przecież działanie administracji znacznie się w ostatnich latach poprawiło. — Genio spojrzał na mnie społem i ostatnią mą uwagę pominął milczeniem. — Poszedłem do spółdzielni w piątek i dowiedziałem się, że przyjmują interesantów tylko w środy i soboty i to jedynie przed południem. Tak więc drugi raz musiałem się zwinąć z pracy, by przysiąc w najbliższą sobotę. Otrzymałem odpowiedni, 4-stronicowy formularz, który należało poświadczyć u kilku instytucjach, jak biuro meldunkowe, administracja domu, zakład pracy, wydział spraw lokalowych...

— Dość dużo tego — powiedziałem.

— Tak, niemało — rzekł Genio — ale nie w tym rzecz. Bo oto w biurze meldunkowym dowiedziałem się, że w moim dotychczasowym mieszkaniu zameldowana jest 6-osobowa rodzina, z którą pięć lat temu zamieniłem mieszkanie. Zapytano mnie więc, czy na mieszkanie spółdzielcze zabieram z sobą również tamtych.

— Z jakiej racji? — zapytałem.

— A z tej, że — według ewidencji — mieszkają ze mną. No, ale przyjeżdżam na słowo, że mówię prawdę i skreślił tę rodzinę z ewidencji. Inna kwestia wynikła w administracji. Nie chcieli mi poświadczyć, że mam dwa pokoje z kuchnią, albowiem ich kartoteki wskazywały, że jest to jeden pokój z kuchnią. Mieszkanie było parę lat temu przerabiane, prze-

róbki dokonano za zgodą i zgodą (pisemną) tejsze administracji, co więcej — to brzydki remont tej administracji dokonały przeróbki i ta sama administracja skasowała ode mnie rachunek za przeróbkę. Nic jednak nie zostało w kartotekach z tych operacji, żadnego śladu.

— No, ale ty potrafisz ludzi przekonać — rzekłem.

— A żebyś wiedział — odpowiedział Genio z dumą w głosie. Poświadczyli mi wszystko. Tylko nie mogę się wyżyć poczucia winy wobec ludzi, których jednak skłoniłem do popelnienia, jak to nazywać... no, nie przestępstwa chyba, lecz jakieś wykroczenia służbowego na pewno. W końcu to oni podpisywali się pod tym co ja im sugerowałem, oni stawiali stempel itd.

— Ale też to oni mieli bałagan u siebie, a nie ty.

— Dobrze, dobrze. No, ale na refleksję przyjdzie czas gdy skończę. Otóż wypełniłem dalej mój nieszczerzy kwestionariusz. Wydział spraw lokalowych przyjmował akurat odwrotnie niż spółdzielnia, bo w poniedziałki i piątki i to jedynie po południu. Znowu więc kosztowało mnie to dwa wyjścia, w tym jedno zwolnienie z pracy. Potem przyszła kolej na zakład pracy. Tu pewne rubryki wprowadziły mnie w niejaką konsternację. Otóż bowiem mój zakład miał stwierdzić jakie ja posiadam ordery i odznaczenia oraz jakie to organizacji politycznych jestem członkiem i jakie w nich pełnię funkcje. Ba, chcą wiedzieć nawet od kiedy do tych organizacji należę.

— To chyba niemożliwe. A cóż to obchodzi spółdzielnię mieszkaniową? — Właśnie, cóż obchodzi.

Kiedy więc na wszystkie te sprawy, na kolejność załatwiania jednego formularza popatrzyć całocisowo — rzecz może wprowadzić człowieka w nienajlepszy nastrój. Oto odwiedzasz z prostą przecież sprawą szereg ogniw naszej administracji. W każdym napotykaś rzeczy dziwne, zaniebana, niedostatek kompetencji. Wypełniasz bezdurne nieraz rubryki, które ktoś na dość chyba wysokim szczeblu zatwierdził. Zbierasz pieczątki i podpisy, nie zawsze mające znaczenie, bo poświadczają czasem to, co chcesz, aby poświadczone było.

— Ale wyglądasz jakoś niezłe, chybą wracasz do normalnej formy?

— Wygadać się też coś znaczy. A kiedy człowiek pozbawia się czarnych myśli to i na ludzi i sprawy patrzy inaczej. W końcu spotkałem trochę ludzi przychylnych, pomogli, zrobili co chcieli, pocieszyli. W gruncie rzeczy świat nie jest taki zły — zanucił Genio na melodię z „Niech no tylko zakwitną jabłonie” i dopił kawę.

Niech pan im nie wierzy...

Dokończenie ze str. 1

wynika, że na pytanie o miejsce urodzenia, poeta odpowiedział: Kiskunfelegyhaza. Jest również reprodukcja rękopisu jednego z poematów, w którym autor wspomina te miejscowości jako swe rodzinne miasto.

— Niech pan nie wierzy w to co mówią w Kiskörös — powiedział mi na zakończenie rozmowy pan Balint.

*

W Kiskörös, wsi odległej o około 60 kilometrów od Kiskunfelegyhazy, jest również muzeum pamiętek po Petőfi, a centralny akcent zbiorów stanowi reprodukcja oryginalnego aktu urodzenia, z którego wynika, że wielki poeta urodził się właśnie w Kiskörös.

Co z tym fantem począć? Najmniej zainteresowany w sporze wysłuchiwałem cierpliwie argumentów obu stron. Były zdecydowane, przekonujące, z powołaniem się na dokumenty, którymi obie strony dysponują.

W Kiskunfelegyhazy mówili: stary Petrovic był protestantem, a miasteczko w większości katolickie. Ojciec musiał więc zgłosić urodzenie syna w swojej parafii protestanckiej, a najbliższa była właśnie w Kiskörös. Dlatego tam jest dokument i w oparciu o ten akt dzisiaj usurpuje sobie ta wieś prawo do nazywania się rodzinną miejscowością Petőfi.

W Kiskörös mówili: przy wpisywaniu do ksiąg dowodem rzeczowym musiało być dziecko. W 1823 roku panowała w tym rejonie wyjątkowo sroga zima i rodzice nie mogli się zdobyć na przewiezienie noworodka aż 60 kilometrów po to tylko, aby wpisać go do księgi urodzeń. Matka była tu, na miejscu i tu urodził się Sandor.

Spór nie trwa od dziś. Zaangażowane są w tę historię autorytety. W miarę neutralni twierdzą, że większość naukowców przyjął jednak Kiskörös jako miejsce urodzenia Petőfi, nie tylko ze względu na dokument.

Być może, iż długo jeszcze — a może nigdy — nie będzie całkowitej jasności w tym względzie. Tym lepiej. Niech nadal rywalizują z sobą obie miejscowości, niech prześcigają się wzajemnie, popularyzując postać bohatera, który zginął w walce o wolność ludu węgierskiego podczas bitwy pod Sagasvár w roku 1849, człowieka którego liryki oparte były na poezji ludowej, który walczył piórem, pisał wiersze patriotyczne, a kiedy zaszła potrzeba — chwycił za karabin.

Łubie takie spory. Oby ludzie mieli więcej takich i tylko takich problemów.

BOGDAN DOHNKE

Marian Flejsierowicz

KSIAŻKA

Zdzisław Romanowski, obecnie przebywający w Moskwie jako korespondent Polskiej Agencji „Interpress”, co zresztą uważny czytelnik „Głosu Wielkopolskiego”, nieraz miał okazję stwierdzić na naszych łamach, związany jest mocno z Poznaniem. Tutaj kończył studia, tutaj rozpoczął działalność dziennikarską, tu pisał reportaże o ziemiach zachodnich, tutaj też prowadził poznańską redakcję „Interpressu”.

Z tym większą więc satysfakcją piszę o Zdzisławie Romanowskim, jako o literacie. Ukazała się bowiem niedawno nakładem Wydawnictwa Poznańskiego książka pt. „Porwane życie”. Powiedźmy od razu, nie wdając się w szczegółową analizę tej powieści, że należy ona do pozycji, które się czyta z zainteresowaniem, mimo, że nie jest wcale pisana „pod czytelnika”, nie ma w sobie nic z taniej sensacji. Wręcz przeciwnie, zaliczyć ją trzeba do literatury zaangażowanej, a nawet w pewnym stopniu drapieżnej.

Chociaż autor napisał tę powieść w pierwszej osobie, „Porwane ży-

Wycieczka w przeszłość

cie” nie jest powieścią autobiograficzną. Widać jednak, że autor zawarł tu spory ładunek własnych przeżyć, obserwacji i przemyśleń. Powieść, że to przecież rzecz normalna, że trudno sobie wyobrazić, by można było pisać o sprawach nie dość znanych i nie dość przemysłowych. To prawda. Ale sedno tkwi w tym, jakie to są sprawy i w jakim stopniu poznane. A także w tym, jak jest literacki owoc tych procesów.

Akcja powieści rozgrywa się dwu- i trójwymiarowo, w dwu nurtach. Pierwszy główny nurt toczy się współcześnie, a ściślej — na początku lat sześćdziesiątych, akurat w dniach kryzysu kubańskiego. Drugi, retrospektywny, zaczyna się kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej i kończy się już parę lat po tej wojnie. Oba wątki się nie schodzą, lecz łączy je osoba bohatera, Piotra Matora, mieszkającego w Poznaniu i pracującego w archiwum redakcyjnym. Wyjeżdża on jako pilot i tłumacz dziennikarza niemieckiego z NRF na ziemie zachodnie, do leżącego nad Odrą miasteczka, noszącego nazwę Krosnowiec. Dziennikarz z NRF szuka w tym miasteczku śladów swego ojca, majora Wehrmachtu, który zaginął w 1945 roku. Zbiegiem okoliczności, Piotr był w 1945 członkiem pierw-

szej ekipy osadniczej, przybyłej z Poznania do Krosnowca i właśnie tutaj pełnił zaraz po wojnie funkcję powiatowego komendanta Milicji Obywatelskiej.

Ta zbieżność faktów jest dogodnym pretekstem do retrospekcji, do wycieczek w przeszłość, do przypomnienia własnych przeżyć bohatera powieści. Na ogół bezpośrednią przyczyną przeniesienia akcji w przeszłość jest jakieś wydarzenie, przywołujące bohaterowi wspomnienia, czasami wystarczy tylko jedno zdanie wypowiedziane przez rozmówcę, a niekiedy nawet jakiś drobny szczegół, lub wręcz przedmiot. Ale przecież nie forma decyduje o wartości „Porwanego życia”. Głównym walorem powieści jest jej tematyka, jej współczesność i zaangażowanie. Mimo, że sporo miejsca zajmują osobiste sprawy Piotra, jego przeżycia zupełnie prywatne a nawet intymne, „Porwane życie” jest przede wszystkim powieścią polityczną: porusza sprawy polskości naszych ziem zachodnich, ukazuje mały lecz dość typowy obrazek kształtowania się tej polskości, jej wzrastania od nowa dzięki ofiarności takich, jak Mator i takich jak komunista Stefanski, który walczył w Hiszpanii, czy wreszcie takich, jak stary doktor, przedwojenny oficer, Kalinowski.

Czasami na kartach książki zjawia się fragment, demaskujący dziennikarskie pochodzenie autora.

Ta pasja publicysty szczególnie silnie odzywa się w sprawach niemieckich. Obecność bowiem dziennikarza z NRF, ustawiczne z nim rozmowy, nawet na tematy pozornie odległe od polityki, wywołują w bohaterze — na jego miejscu wielu z nas, zwłaszcza tych, co pamiętają lata wojny i okupacji, zachowywałoby się tak samo — stan ustawicznej gotowości i napięcia. Ta obecność nakazuje Piotrowi zachowywać czujność. I choć młody dziennikarz z NRF — Lenz, nie pamięta okresu wojny; choć należy on do innego już pokolenia, myśli kategoriami nie zawsze możliwymi do przyjęcia przez Polaka. Na szczęście, to, co na zewnątrz publicystyką, nie wpływa ujemnie na literacką wartość powieści. Jest to zasługa warsztatowej sprawności i napięcia. Ta obecność nakazuje Piotrowi zachowywać czujność. I choć młody dziennikarz z NRF — Lenz, nie pamięta okresu wojny; choć należy on do innego już pokolenia, myśli kategoriami nie zawsze możliwymi do przyjęcia przez Polaka. Na szczęście, to, co na zewnątrz publicystyką, nie wpływa ujemnie na literacką wartość powieści. Jest to zasługa warsztatowej sprawności i napięcia.

Książkę czyta się z przejęciem, a losy jej głównego bohatera, budzą u czytelnika żywy odzwiek, zapadają w pamięć. Prowokują do przemyśleń.

Szkoda, że szata edytorska nie przyciąga czytelnika.

Zdzisław Romanowski „Porwane życie”, Wydawnictwo Poznańskie, 1969, str. 231, cena 17 zł.

Dokończenie ze str. 1

W stajniach racockich wychowuje się ogiery dla państwowych stadnin i młode klaczki, które włączają się jako matki do Stadniny. Przeciętnie licząc, w Stadninie znajduje się około 200 klaczy i ponad 500 młodziąt. Każdy koń syczy się tutaj rasowym rodowodem pieczętując odnotowywanym w dokumentacji hodowlanej.

UDANE INICJATYWY

Eksport koni za granicę rozpoczęto trzynastą lat temu bardzo skromnie, sprzedając 6 koni Szwajcarii i 3 konie Holandii. Od tego czasu wyeksportowano z Racotu ponad czterech tysięcy koni remontowych i sportowych do Egiptu, Indii, Szwecji, Holandii, Szwajcarii, Związku Radzieckiego i innych krajów. Aby przystosować konie eksportowe do nowych warunków, utworzono zakład treningowy koni eksportowych, w którym rokrocznie trenuje się co najmniej 40 koni.

W bieżącym roku swoje dwudziestolecie obchodzi sekcja jeździecka I.ZS. Racocy LZS-owcy zaliczani są do najlepszych jeźdźców. Nazwi-

Z koniem w herbie

ska członków kadry narodowej Stefana Stanisławiaka i Stefana Kumoraka znane są i cenione nie tylko w kraju. PSK Racot jest dorocznie organizatorem Międzynarodowych Zawodów Konnych.

Dyrekcja Stadniny i Rada Zakładowa forsują skutecznie od kilku lat tzw. „kurs na turystykę”. Wyremontowane pomieszczenia pałacu przeznaczono na hotel dla zagranicznych turystów, którzy spędzają tutaj wczas w siodle. Z myślą o statych mieszkańcach Racotu i powiatu kościańskiego prowadzi się szkołę nauki jazdy konnej. Zapewne również z myślą o turystach fachową monografię hodowli racockiej poprzedzono rzeczowym wstępem informacyjnym i historycznym.

Przed niespełna miesiącem dali owoc dwie inne inicjatywy racockich działaczy. W starym XVIII-wiecznym zajeździe, położonym w miej-

scowości Czacz, na turystycznej trasie przelotowej Poznań — Wrocław, po uprzednim wyremontowaniu, rozpoczynającego się niegdyś budynku, otwarto lokal o historycznej nazwie „Husarska”. Jak twierdzą starzy mieszkańcy tej okolicy, w zajeździe, o którym mowa — objadał się polską dziczyzną kilkakrotnie nawet sam Napoleon.

W tym samym mniej więcej czasie w Racocie oddano do użytku przyjeżdżającym klub-kawiarnię na 120 miejsc, z parkietem tanecznym i grającą szafą.

Cieszą się mieszkańcy Racotu i Czacza z własnych nowoczesnych lokali gastronomicznych; cieszą się również turyści krajowi i zagraniczni z dogodnego zlokalizowania punktów odżywczych. Mają więc także powody do radości autorzy pomyślow: PSK w Racocie, PZGS w Kościanie i Gminne Spółdzielnie w Kościanie i Śmiglu.

Jeśli zechcesz się turystą w okolicach Kościana, nie zapomnij o Racocie, gdzie wiele zobaczyć i zwiedzić można.

JERZY ZIELONKA

NOWE METODY GOSPODAROWANIA

Pisze na ten temat w komentarzu redakcyjnym pt. „Nowa strategia — nowe metody” (I.) na łamach „Życia Gospodarczego”. Punktem wyjścia rozważań komentatora jest exposé rządowe premiera Józefa Cyrankiewicza, który m. in. powiedział, że plan i model, program i wskaźniki to tylko ramy rozwoju. Decyduje o tych ramach człowiek, robotnik, a więc cała nasza klasa robotnicza, kierownicza siła narodu, produkująca siła narodu, inżynier, dyrektor, uczeń, pracownik umysłowy, administrator.

„Przesuwanie uprawnień w dół — czytamy w komentarzu — decentralizacja powiązana z koordynacją i przestawianiem generalnej strategii rozwojowej, jest niezbędnym warunkiem elastycznego, śmiałego działania bez którego trudno mówić o szybkim dostosowywaniu się do zmieniających się z dnia na dzień wymagań odbiorcy krajowego i zagra-

nicznego, do napierających na nas zadań, wynikających z przebiegającej przez świat rewolucji naukowo-technicznej. Przekonał się, że schematycznie pojmowana centralizacja krepule inicjatyw, a sama przez się nie zapewnia również racjonalnej koordynacji i nie chroni przed elementami żywiołowości. Tak jak współczesny rozwój gospodarczy, aby był skuteczny, efektywny, musi oznaczać wybór w drodze eliminacji, tak i współczesne naszym potrzebom metody planowania i zarządzania muszą oznaczać selekcję uprawnień w zależności od szczebla gospodarki narodowej. Zasada centralnego planowania i koordynowania gospodarki narodowej będzie realizowana tym skuteczniej, im mniej liczone, a równocześnie im bardziej ważne decyzje zagwarantowane będą dla szczebla centralnego”.

POCZĄTKI PKWN

Pod tym tytułem publikuje artykuł Maria Turlejska na łamach „Tygodnika Demokratycznego”. Autorka, która jest historykiem znanym ze swych publikacji z zakresu najnowszej historii pisze w swoim artykule o powołaniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, o jego składzie i jego działalności. Wspomina też o oświadczeniu rządu radzieckiego, który podkreślał: „nie ma zamiaru ustanawiać na terytorium Polski organów swej administracji, uważając to za sprawę narodu polskiego, i właśnie dlatego postanowił zawrzeć porozumienie z PKWN o stosunkach między dowództwem radzieckim a administracją polską. Rząd radziecki stwierdzał, że nie ma na celu zajęcia jakiegokolwiek części polskiego terytorium lub zmiany w Polsce ustroju społecznego, a działania Czerwonej Armii na terytorium Polski podyktowane są jedynie koniecznością wojenną i dążeniem do udzielenia przysług narodowi polskiemu pomocy w wyzwoleniu od okupacji niemieckiej.

Autorka pisze także o porozumieniu między PKWN a radzieckim Wodzem Naczelnym, składającym się z 10 punktów i wzorowanym na porozumieniu czeskosłowacko-radzieckim między Beneszem i Stalinem z 8 maja 1944 r. W porozumieniu tym zawarte były ustalenia dotyczące współpracy i wzajemnych stosunków wojsk radzieckich oraz wojsk polskich i administracji polskiej. Ciekawy ten materiał kończy się na dacie 4 sierpnia 1944. W następnym

numerze redakcja zapowiada kolejny artykuł pt. „Londyńskie koncepcje”.

NAUKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ W OCZACH LEKARZA

W dyskusji o społecznej roli nauki i odpowiedzialności uczonych za skutki ich prac zabiera głos na łamach „Kultury” kierownik Katedry Fizjologii AM w Gdańsku, prof. dr Tadeusz Kielański. Jego artykuł nosi tytuł „Problem widzialny oczyma lekarza”. Autor zaczyna od stwierdzenia, że głos na ten temat zabiera z wahaniem bowiem jako lekarz — klinicysta należy do grona pracowników tej kategorii nauki, w której praca badawcza połączona jest najzupełniej i nierozdzielnie z praktyką. Zwraca też uwagę na fakt, że wiele odkrytych przez uczonych prawd znalazło zastosowanie (dobre lub złe) lata lub dziesięciolecia po ich ujawnieniu. Ale prawdą jest również, że niektóre odkrycia zmieniły moralne odkrycie świata tylko przez sam fakt ich dokonania, bez jakichkolwiek prób praktycznego wykorzystania (Kopernik, Darwin, Marks, Freud).

„Rzecz uczonego — pisze T. Kielański — jest stawianie propozycji, uzasadnianie potrzeby badań i wskazywanie przewidywanych w bliskiej, lub choćby najdalszej przyszłości, pożytecznych efektów tych badań. Prawem i obowiązkiem uczonych jest odrzucanie propozycji czynienia takich badań, których intencje uważają za niemoralne, choćby nawet sformułowanie problemu i hipotezy odpowiadało wszelkim kryteriom naukowej poprawności. Jest wiele przykładów z ostatnich dziesięcioleci, które wykazują, iż uczeni zdobywali się nie raz i nie dwa na podobne odmowy. Robert Oppenheimer nie był jednym”.

Poza tym zwracamy uwagę na artykuł Józefa Pajestki pt. „Strategia rozwoju i rachunek ekonomiczny” w „Życiu Gospodarczym”; „Sześć o jakim marze” Dariusza Fikusa i „Diabły z Londynu Pendereckiego” Jerzego Waldorfa w „Polityce”; „Nowa sprawa w życiu na wyspie” korespondencja z Londynu Wiesława Mysła w „Argumentach”; „Informacja, pretensja, nadzieja” Zygmunta Mikulskiego w „Tygodniku Kulturalnym”.

LEKTOR

Przeglądamy Prasę

POLAK ZDOBYWA MIESZKANIE

Taki tytuł nosi kolejna publikacja Macieja Wierzyńskiego z cyklu „Żywoć człowieka pocziwego i niepocziwego” PRL” opublikowanym na łamach „Kultury”.

Polak, jeśli posiada dochody wyższe niż 800 złotych miesięcznie na głowę — pisze autor — powinien ubiegać się o mieszkanie spółdzielcze. Nie dostanie go z kwaterunku. Chyba, że mieszka w piwnicy lub na strychu, w rudercze prze-

widzianej do rozbioru, albo jest unikalnym gatunkiem fachuwa ścigającego spod Rzeszowa do Szczecina lub spod Białegostoku do Warszawy”.

Jak więc z tego wynika, przeciętny Polak wkroczyć musi na „spółdzielczą drogę zamieszkania”. Oczywiście droga ta nie jest usłana różami. Maszeruje dziś po niej ponad 75 000 członków i kandydatów pogrupowanych w spółdzielniach różnego typu. Równocześnie według obliczeń pod koniec 1970 roku będzie brakowało w całej Polsce około 960 tysięcy mieszkań, w tym miastach 597 tysięcy. Obecnie te liczby są jeszcze większe.

„Nie obiecujemy — kończy swe rozważania Maciej Wierzyński — bohaterowi naszego artykułu „Polakowi zdobywającemu mieszkanie” łatwego pocieszenia. Jedynie co mu możemy poradzić, to zapisanie już dziś własnych dzieci do spółdzielni. Mieszkania dzięki temu szybko nie dostaną, ale przynajmniej staną już w ogonku. Zawsze pewniej”.